

LEE CHILD

WRÓG BEZ TWARZY



Jack
Reacher

Prolog

Wszystko, co Hak Hobie osiągnął w życiu, zawdzięczał tajemnicy liczącej ponad trzydzieści lat. Dała mu wolność, status, pieniądze, wszystko. I jak każdy ostrożny facet w takiej sytuacji był gotowy zrobić wszystko, żeby ta tajemnica nie wyszła na jaw. Miał wiele do stracenia. Całe życie.

Przez niemal trzydzieści lat chronił swój sekret, opierając się na metodzie złożonej z dwóch kroków. Ucieka się do niej każdy, chroniąc się przed zagrożeniem. W taki sam sposób państwo broni się przed nieprzyjacielskimi rakietami, mieszkaniowcy zabezpiecza się przed włamaniem, a bokser unika nokautu. Obserwacja i reakcja. Krok pierwszy, krok drugi. Najpierw należy dostrzec niebezpieczeństwo, następnie zareagować.

Etap pierwszy opierał się na wyrafinowanym systemie alarmowym. Z biegiem lat system ewoluował zgodnie ze zmieniającymi się okolicznościami. Teraz był już dobrze wypróbowany i uproszczony. Składał się z dwóch poziomów, niczym dwóch pętli indukcyjnych wykrywających obecność przeciwnika. Pierwsza pętla znajdowała się w odległości osiemnastu tysięcy kilometrów od jego mieszkania. To był układ wczesnego ostrzegania. Budzik przerywający sen. Dzięki niemu wiedział, że się zbliżają. Druga pętla leżała osiem tysięcy kilometrów bliżej, ale i tak dzieliła ją od domu odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Sygnał pochodzący z tej pętli powiedziałby mu,

że są już bardzo blisko. Ten sygnał oznaczałby, że skończył się pierwszy etap i zaczyna drugi.

Etap drugi to reakcja. Nie miał wątpliwości, jak powinna wyglądać. Myślał o tym przez niemal trzydzieści lat, ale znalazł tylko jedno praktyczne rozwiązanie. Reakcja musiała polegać na ucieczce. Musiał zniknąć. Był realistą. Przez całe życie był dumny ze swej odwagi i przebiegłości, twardości i wytrwałości. Zawsze robił to, co było konieczne, długo się nie zastanawiając. Wiedział jednak, że gdy usłyszysz sygnał ostrzegawczy z odległych pętli, będzie musiał zmiatać. Nikt nie mógłby odeprzeć takiego ataku. Nikt. Nawet ktoś tak bezwzględny jak on.

W ciągu tych wielu lat zagrożenie rośnie i maleje niczym przyprływy i odpływy morza. Zdarzały się długie okresy, gdy był już pewny, że zostanie zalany, ale również takie, w których nabierał nadziei, że nigdy go nie dopadną. Niekiedy pod wpływem oziębiającego działania czasu czuł się bezpieczny, ponieważ trzydzieści lat to prawie wieczność. Kiedy indziej wydawało mu się, że to zaledwie chwila. Zdarzało się, że nieustannie wyczekiwał na pierwszy sygnał alarmowy. Planował, pocił się, zawsze jednak zdawał sobie sprawę, że w każdym momencie może zostać zmuszony do ucieczki.

Układał to sobie w głowie miliony razy. Według jego przypuszczeń między pierwszym a drugim sygnałem alarmowym powinien upłynąć miesiąc. To dawało mu czas na to, aby się przygotować. Chciał pozamykać bieżące sprawy, zebrać gotówkę, przenieść aktywa, wyrównać rachunki, a po otrzymaniu drugiego sygnału zamierzał zniknąć. Natychmiast. Bez wahania. Po prostu spieprzać stąd, i to jak najszybciej.

W rzeczywistości jednak oba sygnały dotarły do niego tego samego dnia. Najpierw otrzymał sygnał z drugiej pętli. Bliższa pętla została przekroczona godzinę przed dalszą. Hak Hobbie nie uciekł. Porzucił przygotowywany od trzydziestu lat plan ucieczki i podjął walkę.

1

Jack Reacher zobaczył, jak facet wszedł przez drzwi. Właściwie tam nie było drzwi. Facet po prostu wszedł przez ścianę frontową, której w tym miejscu nie było. Z baru wychodziło się prosto na chodnik. Stoliki i krzesła stały pod starą winoroślą, która dawała odrobinę cienia. Reacher przypuszczał, że gdy bar jest zamknięty, wejście uniemożliwia jakaś żelazna krata. Jeśli w ogóle był zamykany, bo Reacher jeszcze czegoś takiego nie widział, choć nie prowadził regularnego trybu życia.

Facet wszedł metr w głąb ciemnego pokoju i zatrzymał się. Mrugając powiekami, czekał, aż oczy dostosują się do półmroku ostro kontrastującego z palącym słońcem nad Key West. Był czwartek, czwarta po południu. To była najbardziej wysunięta na południe część Stanów Zjednoczonych. Dużo dalej na południe niż wyspy Bahama. Gorące białe słońce i skwar. Reacher siedział przy stoliku w głębi, popijał wodę z plastikowej butelki i czekał.

Tamten rozejrzał się dookoła. Niska sala barowa była zbudowana ze starych, ciemnych desek wysuszonych na wiór. Wyglądały tak, jakby pochodziły z rozebranych żaglowców. Na ścianach wisiały rozmaite żeglarskie rupiecie, fragmenty wyposażenia z mosiądzu, zielone latarnie morskie, kawałki starych sieci i różne przyrządy rybackie — tak przynajmniej przypuszczał Reacher, który nigdy w życiu nie złapał ryby

i nie żeglował. Ściany, a nawet sufity były pokryte tysiącami wizytówek, nowych i starych, pośliskłych i skręconych, z nazwami firm, które już dawno przestały działać.

Facet wszedł głębiej i skierował się do baru. Był stary, miał jakieś sześćdziesiąt lat, średniego wzrostu, krępy. Lekarz pewnie uznałby go za otyłego, ale zdaniem Reachera był to sprawny mężczyzna, który jednak przekroczył już szczyt góry. Człowiek spokojnie ulegający upływowi czasu i niedenerwujący się zbyt z tego powodu. Był ubrany jak mieszczuch z Północy, któremu powiedziano, że ma nagle wyjechać do miasta, gdzie panuje upał. Jasnoszare spodnie obszerne u góry i zwężające się na dole, lekka beżowa marynarka, już wymięta, biała koszula z szeroko rozpiętym kołnierzykiem odsłaniającym niebiesko-białą skórę szyi, ciemne skarpety, półbuty. Z Nowego Jorku lub Chicago, pomyślał Reacher. Może z Bostonu. Spędza lato w klimatyzowanych budynkach lub samochodach. Wyciągnął te spodnie i marynarkę z dna szafy, gdzie leżały od czasu, kiedy je kupił dwadzieścia lat temu i tylko kilka razy włożył.

Nieznajomy podszedł do baru, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął wypchany stary portfel z czarnej skóry. Takie portfele dobrze dopasowują się do wszystkiego, co właściciel wepchał do środka. Reacher przyglądał się, jak tamten z wprawą otwiera portfel, pokazuje coś barmanowi i zadaje pytanie. Barman odwrócił wzrok, tak jakby został obrażony. Gość schował portfel i przyglądał kosmyki szarych włosów, które przylepiły się do spoczonej skóry czaszki. Mruknął coś. Barman wyciągnął piwo ze skrzyni z lodem. Gość najpierw przyłożył zimną butelkę do twarzy, a potem wypił kilka łyków. Dyskretnie beknął, zasłaniając usta, i uśmiechnął się, tak jakby piwo złagodziło niewielkie rozczarowanie.

Reacher również wypił kilka łyków wody. Pewien belgijski żołnierz, najbardziej wysportowany gość, jakiego w życiu spotkał, przysięgał, że można robić i jeść, co się chce, byle tylko pić pięć litrów wody mineralnej dziennie. Reacher uznał, że skoro ten Belg był od niego dwa razy mniejszy, to on powinien pić dziesięć. Dziesięć litrowych butelek. Robił tak od przyjazdu do upalnego Key West i w jego przypadku metoda

okazała się skuteczna. Nigdy nie czuł się lepiej. Każdego dnia siadał o czwartej przy swoim ciemnym stole i wypijał trzy butelki wody o temperaturze pokojowej. Teraz pił wodę tak nałogowo jak kiedyś kawę.

Nieznajomy stał bokiem do baru. Pił piwo i rozglądał się dookoła. Oprócz barmana i Raechera w sali nie było nikogo. Stary odepchnął się biodrem od baru i podszedł do jego stolika. Pomachał w powietrzu butelką niejasnym gestem, który miał pewnie wyrazić pytanie, czy może się przysiąść. Reacher wskazał mu brodą krzesło i odkorkował trzecią butelkę. Nieznajomy ciężko zwałił się na krzesło, które zatrzęszczało pod jego ciężarem. Należał do mężczyzn, którzy noszą w kieszeniach spodni klucze, pieniądze i chusteczki, co tylko powiększało szerokość bioder.

— Czy pan Jack Reacher? — spytał.

Nie jest ani z Chicaga, ani z Bostonu. Na pewno z Nowego Jorku. Mówił dokładnie tak jak dobry znajomy Raechera, który przez pierwsze dwadzieścia lat życia nie oddalał się dalej niż o sto metrów od ulicy Fulton.

— Jack Reacher? — spytał tamten ponownie.

Z bliska widać było, że ma małe, sprytnie oczy, częściowo zasłonięte obwisłymi brwiami. Reacher wypił kilka łyków wody i spojrzał na niego przez butelkę.

— Czy pan Jack Reacher? — spytał nieznajomy po raz trzeci.

Reacher postawił butelkę na blacie i pokręcił głową.

— Nie — skłamał.

Stary na chwilę zwiesił ramiona, wyraźnie rozczarowany. Podciągnął mankiet i spojrzał na zegarek. Przesunął się do przodu na krześle, jakby chciał wstać, ale zrezygnował i znowu się oparł. Przestało mu się śpieszyć.

— Pięć po czwartej — powiedział.

Reacher kiwnął głową. Tamten pomachał pustą butelką. Barman po chwili przyniósł mu następną.

— Gorąco — rzekł stary. — To mnie wykańcza.

Reacher jeszcze raz pokiwał głową i wypił trochę wody.

— Zna pan może tego Jacka Raechera?

Reacher wzruszył ramionami.

— Wie pan, jak on wygląda? — spytał.

Nieznajomy wypił kilka łyków piwa. Wylał wargi wierzchem dłoni, wykorzystując ten gest, żeby znowu beknąć.

— Nie za dobrze — odparł. — Wiem tylko, że to wysoki facet. Dlatego spytałem pana.

Reacher kiwnął głową.

— Tutaj jest dużo wysokich typów — stwierdził. — Wszędzie ich pełno.

— Nie zna go pan po nazwisku?

— A powinienem? — spytał Reacher. — I kto chce wiedzieć?

Nieznajomy się uśmiechnął i skłonił głowę, tak jakby chciał przeprosić za złe maniery.

— Costello — przedstawił się. — Miło mi pana poznać.

Reacher też się skłonił. Uniósł na chwilę butelkę.

— Poszukuje pan zaginionych? — spytał.

— Prywatny detektyw — odrzekł Costello.

— I szuka pan tego Reachera? — ciągnął Jack. — Co takiego zrobił?

— O ile wiem, nic — odpowiedział Costello, wzruszając ramionami. — Po prostu polecono mi go znaleźć.

— Sądzi pan, że jest gdzieś w tej okolicy?

— Był tu tydzień temu. Ma rachunek w banku w Wirginii i przesyła tam pieniądze.

— Z Key West?

Costello pokiwał głową.

— Co tydzień. Od trzech miesięcy.

— No i co z tego?

— Pewnie tu pracuje — odrzekł Costello. — Od trzech miesięcy. Można przypuszczać, że ktoś go zna.

— Ale nikt o nim nic nie wie, tak?

— Nie — potrząsnął głową detektyw. — Pytałem we wszystkich lokalach na Duval, a tu chyba koncentruje się życie w tym mieście. W pewnym barze ze striptizem dziewczyna powiedziała mi, że dokładnie od trzech miesięcy jakiś wysoki facet przychodzi tu codziennie o czwartej i pije wodę.

Costello zamilkł. Wpatrywał się uparcie w Reachera, tak

jakby rzucał mu wyzwanie. Jack wypił łyk i wzruszył ramionami.

— Zbieg okoliczności — powiedział.

Costello kiwnął głową.

— Tak przypuszczam — zgodził się z Jackiem. Podniósł butelkę do ust i wypił trochę piwa, nie odrywając swych mądrych oczu od twarzy Reachera.

— Dużo ludzi mieszka tu tylko przez pewien czas — oznajmił Reacher. — Ludzie ciągle przyjeżdżają i wyjeżdżają.

— Tak przypuszczam — powtórzył Costello.

— Będę się rozglądał — obiecał Reacher.

Costello pokiwał głową.

— Będę bardzo wdzięczny — odrzekł dość niejasno.

— A kto go szuka? — spytał Reacher.

— Moja klientka. Niejaka pani Jacob.

Reacher wypił łyk wody. Nic mu to nie mówiło. Jacob? Nie znał nikogo o takim nazwisku.

— Dobra, jeśli go zobaczę, powiem mu, ale niech pan na mnie szczególnie nie liczy. Nie widuję zbyt wielu ludzi.

— Pracuje pan?

Reacher pokiwał głową.

— Kopię baseny — wyjaśnił.

Costello zastanowił się nad tym, jakby wiedział, co to są baseny, ale nigdy nie myślał, skąd się biorą.

— Jest pan operatorem koparki?

Jack się uśmiechnął i potrząsnął głową.

— Nie tutaj. Musimy kopać ręcznie.

— Ręcznie? — powtórzył Costello. — Jak to, łopatami?

— Działki są zbyt małe, żeby mogła wjechać koparka — wyjaśnił mu Reacher. — Ulice za wąskie, drzewa za niskie. Niech pan zejdzie z Duval, to sam się pan przekona.

Costello pokiwał głową. Nagle wydał się zadowolony.

— No, to pewnie nie spotka pan tego Reachera — powiedział. — Według pani Jacob był oficerem. Sprawdziłem, ma rację. Był majorem. Medale, order i tak dalej. Szycha w policji wojskowej. Trudno takich spotkać, machając cholernym szpadlem i kopiąc baseny.

Reacher przyłożył butelkę do ust, żeby zamaskować wyraz twarzy. Wypił kilka łyków.

— To co on tu robi?

— Tutaj? Sam nie wiem. Może zajmuje się ochroną hotelu? Prowadzi jakąś firmę? Może ma jacht motorowy i czarteruje go turystom.

— A po co tu w ogóle przyjechał?

Costello wzruszył ramionami, tak jakby zgadzał się z tym sceptycznym pytaniem.

— Ma pan rację — westchnął. — To prawdziwe piekło. Jest tu jednak, to pewne. Dwa lata temu odszedł z wojska, wpłacił pieniądze do banku położonego najbliżej Pentagonu i znikł. Z rachunku bankowego wynika, że przesyłał pieniądze z całego cholernego kraju, ale od trzech miesięcy tylko stąd. Chyba przez jakiś czas podróżował, po czym zatrzymał się tutaj i nieźle zarabia. Znajdę go.

Reacher przytaknął.

— Chce pan, żebym pytał o niego?

Costello pokręcił głową. Już planował następne posunięcie.

— Niech pan sobie nie zawraca głowy — powiedział.

Z trudem podniósł się z krzesła i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Cisnął na blat piąta i odszedł.

— Miło mi było pana poznać — rzucił jeszcze, nie odwracając głowy.

Wyszedł przez otwór w ścianie na rozpaloną ulicę. Reacher dopił wodę i odprowadził go wzrokiem. Było dziesięć po czwartej.

• • •

Godzinę później Reacher wałęsał się po Duval, zastanawiając się nad zmianą układu z bankiem, wyborem restauracji na wczesną kolację i nad tym, dlaczego okłamał Costella. Ostatecznie uznał, że po pierwsze będzie posługiwał się gotówką i chodził ze zwitkiem banknotów w kieszeni; po drugie, zgodnie z radą belgijskiego przyjaciela zje wielki befsztyk, porcję lodów i wypije dwie butelki mineralnej; po trzecie, kłamał, bo nie miał powodu nie kłamać.

Nie było żadnego powodu, żeby szukał go prywatny detektyw z Nowego Jorku. Nigdy tam nie mieszkał. Ani tam, ani w żadnym mieście na Północy. W istocie nigdy nie żył w jednym miejscu. To była charakterystyczna cecha jego życia. To sprawiło, że był takim właśnie człowiekiem jak teraz. Jego ojciec był oficerem piechoty morskiej w czynnej służbie i ciągnął go za sobą po całym świecie, od kiedy matka wyniosła go z oddziału położniczego berlińskiego szpitala. Dzieciństwo i młodość spędził w kolejnych, podobnych do siebie bazach wojskowych, z reguły położonych w odległych i niegościnnych regionach świata. Później sam zaciągnął się do wojska, został oficerem dochodzeniowym policji wojskowej i znowu wędrował od bazy do bazy, aż wreszcie po zakończeniu zimnej wojny w ramach „dywidendy pokoju” rozwiązano jego jednostkę, a wówczas zwolnił się z wojska. Wędrował po kraju jak biedny turysta, żyjąc z oszczędności, aż wreszcie rzuciło go tu, na południowy kraniec kraju. Kończyły mu się pieniądze, więc postanowił przez parę dni zarabiać kopaniem dołów. Parę dni zmieniło się w kilka tygodni, tygodnie złożyły się na miesiące, a on wciąż tu siedział.

Nie miał żadnych krewnych, którzy mogliby mu zostawić fortunę w spadku. Nie miał długów, nigdy niczego nie ukradł, nikogo nie oszukał, nie spółdził dziecka. Jego nazwisko widniało na tak nielicznych dokumentach, jak tylko to możliwe. Był niemal niewidzialny. No i nigdy nie znał żadnej pani Jacob. Tego był pewny. I nie interesowała go ta sprawa, bez względu na to, czego chciał Costello. Z pewnością nie zainteresowała na tyle, żeby miał wyjść z ukrycia i w coś się zaangażować.

Bycie niewidzialnym weszło mu w krew. Coś w płacie czołowym mózgu sygnalizowało mu, że to była skomplikowana reakcja na sytuację, w jakiej się znalazł. Dwa lata temu jego życie stanęło na głowie. Przedtem był wielką rybą w małym stawie, teraz był nikim. Ze starszego ranga, cenionego członka dobrze zorganizowanej, hierarchicznej struktury zmienił się w jednego z dwustu siedemdziesięciu milionów anonimowych cywilów. Przedtem był niezbędny, teraz stał się zbyteczny. Przedtem ktoś mówił mu, gdzie się ma znaleźć w danym dniu

i danej minucie, teraz miał przed sobą prawie osiem milionów kilometrów kwadratowych, jakieś czterdzieści lat życia, żadnej mapy i żadnego rozkładu zajęć. Czołowy płat mózgowy mówił mu, że jego reakcja była zrozumiała, ale stanowiła zachowanie obronne. Tak reaguje człowiek, który lubi samotność, ale jednocześnie się jej obawia. Czołowy płat mózgowy upominał go, że zachowuje się w sposób ekstremalny i powinien uważać.

Natomiast leżące za płatem czołowym śródmózgowie zapewniało go, że jest z siebie zadowolony. Lubił anonimowość. Lubił tajemniczość. Czuł się wygodnie i bezpiecznie. Strzegł tego. Zachowywał się przyjaźnie i wesoło, ale niewiele mówił o sobie. Lubił płacić gotówką i podróżować, korzystając z transportu lądowego. Dzięki temu nie trafiał na listy pasażerów i nie zostawiał za sobą kopii rachunków opłaconych kartą kredytową. Nikomu nie mówił, jak się nazywa. W Key West zatrzymał się w tanim motelu, posługując się nazwiskiem Harry S. Truman. Przeglądając książkę gości, stwierdził, że nie był oryginalny. Większość z czterdziestu jeden prezydentów nocowała w tym motelu, nawet ci, o których nikt nie słyszał, na przykład John Tyler i Franklin Pierce. Przekonał się, że w Key West nazwiska nie miały większego znaczenia. Ludzie pozdrawiali się machaniem rąk, uśmiechali się i mówili: *Halo*. Wszyscy zakładali, że każdy ma coś, o czym woli nie wspominać. Czuł się tu dobrze. Zbyt dobrze, żeby pośpiesznie wyjeżdżać.

Jack spacerował godzinę po hałaśliwej i gorącej ulicy, po czym skręcił na ukryty dziedziniec, gdzie znajdowała się restauracja. Wiedział, że znają go tam jako stałego klienta, mają jego ulubioną markę wody mineralnej i dadzą mu stek zwisający z dwóch końców talerza.

• • •

Kelnerka przyniosła mu stek z jajkiem, frytkami i skomplikowaną mieszaniną lokalnych warzyw. Później podała mu lody oblane sosem czekoladowym i posypane orzechami. Reacher wypił jeszcze litr wody i dwie filiżanki mocnej kawy. Odsunął się od stołu i spokojnie siedział, najedzony i zadowolony.

— Już lepiej? — spytała kelnerka z uśmiechem.

— Tego mi było trzeba — odpowiedział.

— Dobrze ci to robi.

— I tak też się czuję.

To była prawda. Niedługo miał skończyć trzydzieści dziewięć lat, ale nigdy jeszcze nie czuł się tak dobrze. Zawsze dbał o sprawność fizyczną, jednakże w ciągu ostatnich trzech miesięcy osiągnął szczytową formę. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a gdy zegnał się z wojskiem, ważył dziewięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Po przyłączeniu się do ekipy kopaczy basenów w miesiąc stracił pięć kilogramów, ale po następnych dwóch ważył już sto dziesięć — i wszystko to były czyste, twarde mięśnie. Ciężko harował. Jack obliczył, że każdego dnia przerzuca cztery tony ziemi i kamieni. Opracował technikę kopania i przerzucania ziemi w taki sposób, żeby brały w tym udział wszystkie mięśnie. Uzyskał wspaniałe wyniki. Był opalony na ciemny brąz i osiągnął rekordową formę. Jak powiedziała jakaś dziewczyna, przypominał prezerwatywę wypchaną włoskimi orzechami. Musiał jeść dziesięć tysięcy kalorii dziennie, żeby nie tracić na wadze. Do tego pił jeszcze osiem litrów wody.

— Pracujesz dziś w nocy? — spytała kelnerka.

Reacher się zaśmiał. Zarabiał pieniądze, wykonując ćwiczenia gimnastyczne, za które większość ludzi musiałaby wybulić grubą forszę w jakiejś lśniącej sali. Teraz miał robić za pieniądze coś, co wielu mężczyzn chętnie robiłoby darmo. Był wykidajką w barze ze striptizem, o którym wspomniał Costello. Na Duval. Siedział tam całą noc bez koszuli, robił groźne wrażenie, pił darmowe drinki i pilnował, żeby goście nie zaczepiali nagich kobiet. Potem ktoś mu płacił za to pięćdziesiąt dolców.

— To harówka — powiedział. — No, ale ktoś musi to robić.

Kelnerka też się zaśmiała. Reacher zapłacił i wyszedł.

• • •

Dwa tysiące dwieście kilometrów na północ, niedaleko Wall Street w Nowym Jorku, naczelny dyrektor zjechał windą dwa

piętra niżej, do biura dyrektora do spraw finansowych. Usiedli razem przy biurku w jego gabinecie. To był jeden z tych luksusowych i kosztownych gabinetów, za które firma płaci w dobrych czasach, a potem, gdy czasy się zmieniają, stanowią przykre upomnienie. Meble z palisandru, zasłony z kremowego lnu, mosiężne akcenty wyposażenia, wielkie biurko, włoska lampa przy stole, wielki monitor komputera, który kosztował znacznie więcej, niż musiał. Na świecącym się ekranie widać było pytanie o hasło. Naczelny dyrektor wpisał je, nacisnął ENTER i otworzył arkusz kalkulacyjny. To był jedyny arkusz zawierający prawdziwe dane na temat firmy. Dlatego właśnie zabezpieczono go hasłem.

— Przetrywamy? — spytał naczelny dyrektor.

To był ich dzień R. R od „redukcja”. Kierownik do spraw zasobów ludzkich w ich fabryce na Long Island pracował bez przerwy od ósmej rano. Jego sekretarka ustawiła długi szereg krzeseł na korytarzu. Wszystkie zajęli ludzie czekający w kolejce. Co pięć minut przesuwali się o jedno miejsce, aż wreszcie trafiali do gabinetu na rozmowę. Dowiadywali się, że właśnie stracili środki utrzymania, po czym słyszeli dziękuję i do widzenia.

— Przetrywamy? — powtórnie spytał naczelny.

Dyrektor do spraw finansowych spisywał z arkusza jakieś duże liczby. Odjął je od siebie i spojrzął na kalendarz. Wzruszył ramionami.

— Teoretycznie tak — powiedział. — W praktyce nie.

— Nie? — powtórzył naczelny.

— To sprawa czasu — wyjaśnił dyrektor do spraw finansowych. — Nie ma wątpliwości, że postąpiliśmy słusznie, decydując się na redukcję. Zwolniliśmy osiemdziesiąt procent ludzi i zaoszczędziliśmy dziewięćdziesiąt jeden procent funduszu płac, bo zatrzymaliśmy tylko tych tańszych. Jednakże zapłaciliśmy im wszystkim do końca następnego miesiąca. Wobec tego poprawa płynności nie nastąpi wcześniej niż za sześć tygodni. W istocie sytuacja bardzo się pogorszy, ponieważ ci łajdacy pobierają wypłatę za całe sześć tygodni.

Dyrektor naczelny ciężko westchnął.

— A zatem ile potrzebujemy?

Dyrektor do spraw finansowych otworzył myszą okienko na ekranie.

— Milion sto tysięcy — powiedział. — Na sześć tygodni.

— Bank?

— Wybij to sobie z głowy — odrzekł dyrektor do spraw finansowych. — Chodzę tam każdego dnia i całuję ich w dupę tylko po to, żeby nie zażądali natychmiastowej spłaty kredytu. Jeśli poproszę o więcej, roześmieją mi się w twarz.

— Bywają większe tragedie.

— Nie o to chodzi. Istotne jest coś innego. Jeśli wywąchają, że wciąż nie wyszliśmy na prostą, to będą domagać się spłaty kredytu. I to natychmiast.

Dyrektor naczelny zabębnił palcami o blat z palisandru i wzruszył ramionami.

— Sprzedam akcje — zaproponował.

— Nie możesz — cierpliwie wyjaśnił jego podwładny. — Jeśli wystawisz akcje na sprzedaż, kurs spadnie do zera. Nasze kredyty są zabezpieczone akcjami. Gdy staną się bezwartościowe, kredytodawcy jutro zgłoszą pozew o ogłoszenie bankructwa.

— Cholera! — zaklął naczelny. — Brakuje nam sześciu tygodni. Nie zamierzam wszystkiego tracić z powodu sześciu pieprzonych tygodni i pieprzonego miliona dolarów. To żadne pieniądze.

— Ale ich nie mamy.

— Musi być jakiś sposób, żeby je zdobyć.

Dyrektor do spraw finansowych nic nie odpowiedział, lecz siedział tak, jakby miał jeszcze coś w zanadrzu.

— Co takiego? — spytał naczelny.

— Słyszałem pewne rozmowy. Plotki wśród znajomych. Jest chyba miejsce, gdzie moglibyśmy się zwrócić. Na sześć tygodni może warto. Jest pewna instytucja finansowa, o której słyszałem. Coś w rodzaju kredytodawcy ostatniej szansy.

— Na poziomie?

— Najwyraźniej — zapewnił go dyrektor do spraw finansów. — Robią bardzo dobre wrażenie. Wielkie biuro w World Trade Center. Specjalizują się w takich rzeczach.

Naczelnny wpatrywał się w ekran z wściekłością.

— Czyli w jakich?

— Takich jak nasze. Gdy firma jest już bliska wyjścia z kryzysu, ale banki są zbyt tchórzliwe, żeby to dostrzec.

Dyrektor naczelnny pokiwał głową i rozejrzał się dookoła. To był piękny gabinet. Sam miał biuro dwa piętra wyżej, jeszcze ładniej urządzone.

— Dobra — powiedział. — Idź do nich.

— Nie mogę — odrzekł dyrektor do spraw finansów. — Ten facet nie rozmawia z nikim poniżej dyrektora naczelnego. Musisz to zrobić sam.

• • •

Wieczór w barze ze striptizem zapowiadał się spokojnie. Normalny dzień pracy w czerwcu. Za późno dla ludzi, którzy tu przyjeżdżali na zimę, i dla studentów zabawiających się podczas wiosennej przerwy. Za wcześnie dla letnich gości ścigających tutaj, żeby spieć się na plaży. Przez cały wieczór do baru przyszło co najwyżej czterdziestu gości. Dwie dziewczyny stały za barem, trzy tańczyły. Reacher przyglądał się kobiecie zwanej Crystal. Przypuszczał, że nie jest to jej prawdziwe imię, ale nigdy o to nie spytał. Była najlepsza. Zarabiała znacznie więcej, niż on dostawał jako major. Jeździła starym, czarnym porsche. Reacher czasami słyszał wczesnym popołudniem ryk potężnego silnika, gdy przejeżdżała w pobliżu miejsca, gdzie pracował.

Bar znajdował się na piętrze. W długiej wąskiej sali ciągnął się wybieg zakończony niewielką okrągłą sceną z pionową, błyszczącą rurką. Wzdłuż wybiegu stały krzesła. Na czarnych ścianach wszędzie wisały lustra. Całe miejsce pulsowało i dygotało w rytmie muzyki z kilku głośników, na tyle potężnych, żeby zagłuszały szmer klimatyzacji.

Reacher stał przy barze, opierając się plecami o ladę, mniej więcej w jednej trzeciej długości sali. Dostatecznie blisko drzwi,

żeby widzieli go wchodzący, dostatecznie głęboko w sali, żeby goście nie zapominali o jego obecności. Crystal właśnie skończyła trzeci numer i holowała jakiegoś spokojnego faceta za scenę na prywatny pokaz za dwadzieścia dolarów, gdy Reacher zobaczył wchodzących po schodach dwóch mężczyzn. Jacyś obcy, z Północy. Trzydzieści lat, mocno zbudowani, bladzi. Groźni. Twardziele z Północy w garniturach za tysiąc dolarów i wyglansowanych półbutach. Przyszli tu w wielkim pośpiechu, nawet nie zdążyli się przebrać. Stali przy kasie i kłócili się o trzy dolary za wejście. Dziewczyna przy kasie spojrzała niespokojnie na Jacka. Ześlizgnął się ze stołka i podszedł.

— Jakies problemy, panowie? — spytał.

Reacher zbliżył się do nich, jak to określał, studenckim krokiem. Zauważył kiedyś, że studenci dziwnie chodzą. Widać to było szczególnie wyraźnie na plaży, gdy byli w szortach. Jakby z powodu potężnego umięśnienia nie mogli normalnie poruszać kończynami. W wykonaniu studencika ważącego sześćdziesiąt kilogramów wyglądało to dość komicznie, natomiast Jack przekonał się, że gdy robi to facet mający ponad metr dziewięćdziesiąt i ważący sto dziesięć kilogramów, można się go przestraszyć. Studencki krok był teraz narzędziem jego nowego zawodu. Przydatnym narzędziem. Z pewnością zrobił stosowne wrażenie na facetach w garniturach po tysiąc dolców.

— Jakies problemy? — powtórzył.

Te słowa zwykle starczały, żeby kłopotliwi goście decydowali się na odwrót. Ci dwaj nie zrezygnowali. Z bliska Reacher wyczuł, że bije od nich jakaś mieszanina pewności siebie i agresji. Z dodatkiem arogancji. Najwyraźniej przywykli do tego, że stawiają na swoim, ale tu byli daleko od domu. Dostatecznie daleko od swego terytorium, żeby wykazywać pewną rozwagę.

— Nie ma żadnych problemów, Tarzanie — odpowiedział ten z lewej.

Reacher się uśmiechnął. Różnie go przezywano, lecz tego jeszcze nie słyszał.

— Trzy dolary za wejście — powiedział. — Wyjść możecie za darmo.

— Chcemy tylko z kimś porozmawiać — wtrącił ten z prawej.

— To nie jest dobre miejsce na rozmowy — stwierdził Reacher. — Muzyka jest za głośna.

— Jak się nazywasz?

— Tarzan — odpowiedział z uśmiechem Jack.

— Szukamy faceta, który nazywa się Reacher — rzekł jeden z nich. — Jack Reacher. Znasz go?

Reacher pokręcił głową.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Musimy porozmawiać z dziewczynami — ciągnął tamten. — Słyszeliśmy, że mogą go znać.

— Nie znają. — Reacher znowu pokręcił głową.

Facet stojący po prawej zajął w głąb sali. Przyglądał się barmankom. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że Jack jest jedynym ochroniarzem.

— Okay, Tarzan, odsuń się — powiedział. — Wchodzimy.

— Umiecie czytać? — spytał Reacher. — Drukowanymi literami?

Wskazał na tabliczkę wywieszoną nad drzwiami, ze świecącymi się literami na czarnym tle: „Menedżer lokalu zastrzega sobie prawo odmowy zgody na wstęp”.

— Jestem menedżerem — dodał Jack. — Odmawiam zgody na wstęp.

Tamten spojrzął na wywieszkę i zmierzył Jacka wzrokiem.

— Czy muszę ci to przełożyć? — spytał Reacher. — Na prostszy język? To oznacza, że jestem szefem, a wy nie możecie wejść.

— Daruj sobie, Tarzan — rzucił tamten.

Reacher pozwolił mu zrównać się z nim. Gdy facet go mijał, Jack złapał go lewą ręką za łokieć i wbił palce w miejsce, gdzie przebiegają nerwy tricepsu. Efekt był taki, jaki wywołuje stały nacisk na czułe miejsce w łokciu. Facet podskakiwał, jakby go prąd poraził.

— Na dół — spokojnie polecił Reacher.

Drugi szybko oceniał szanse. Reacher to zauważył i uznał, że pora na jasne ostrzeżenie. Podniósł prawą rękę, żeby pokazać mu, że jest wolna i gotowa do użycia. Miał wielką brązową dłoń z odciskami od szpadla. Przeciwnik odebrał sygnał. Wzruszył ramionami i cofnął się na schody. Reacher popchnął jego kompana.

— Jeszcze się spotkamy — zagroził jeden z nich.

— Przyprawiajcie wszystkich znajomych! — odkrzyknął Jack. — Trzy dolary za wejście.

Reacher wrócił na salę. Tancerka Crystal podeszła do niego.

— Czego chcieli? — spytała.

— Szukają kogoś — odparł, wzruszając ramionami.

— Kogoś, kto nazywa się Reacher?

Przytaknął.

— To już drugi raz dzisiaj — powiedziała Crystal. — Wcześniej był tu jakiś starszy gość. Zapłacił trzy dolce. Chcesz iść za nimi? Sprawdzić, co to za jedni?

Reacher się zawahał. Crystal podała mu koszulę, która leżała na stołku barowym.

— Idź — poradziła. — Tutaj nic się nie dzieje. Spokojny wieczór.

Wziął od niej koszulę i wywrócił na prawą stronę.

— Dzięki, Crystal.

Włożył koszulę i zapiął guziki, po czym ruszył w stronę schodów.

— Proszę bardzo, Reacher! — zawołała za nim Crystal.

Jack obejrzał się przez ramię, ale ona już szła w kierunku sceny. Zerknął na dziewczynę przy wejściu i zbiegł po schodach na ulicę.

• • •

Jedenasta wieczorem w Key West to pora największego ożywienia. Dla niektórych to środek wieczoru, inni dopiero zaczynają zabawę. Główna ulica miasta, ciągnąca się od wschodu na zachód Duval, kipiała od muzyki i świateł. Reacher nie obawiał się, że ci dwaj czekają na niego na Duval. Tam było za dużo ludzi. Jeśli chcieli się zrewanżować, z pewnością

wybrali spokojniejsze miejsce. Było w czym wybierać. Po zejściu z Duval, zwłaszcza na północ, ruch szybko zamiera. Key West to miniaturowe miasto. Wystarczy krótki spacer, żeby minąć dwadzieścia przecznic i trafić na przedmieścia, gdzie Reacher kopał baseny na maleńkich podwórkach za niewielkimi domkami. W tej okolicy nie ma wiele latarni ulicznych, a zamiast zgiełku muzyki i krzyków słyszeć szum nocnych owadów. Zapach piwa i papierosów ustępuje ciężkiemu odorowi tropikalnych roślin kwitnących i gnijących w ogrodach.

Reacher szedł mniej więcej po spirali. Skręcał w przypadkowo wybrane ulice i sprawdzał ciche, ciemne zaułki. Nikogo nie zauważył. Kroczył środkiem jezdni. Gdyby ktoś czał się na jakimś podjeździe, musiałby pokonać kilka metrów, żeby go zaatakować. Nie obawiał się, że go zastrzelą. Nie mieli przy sobie broni. Świadczyły o tym ich garnitury. Były zbyt dopasowane, żeby ukryć rewolwer. Garnitury dowodziły, że przybyli na Południe w pośpiechu. Przylecieli. Nie ma żadnego łatwego sposobu, żeby wnieść na pokład samolotu rewolwer ukryty w kieszeni.

Po przejściu jakichś dwóch kilometrów Reacher zrezygnował. Key West to wprawdzie niewielkie miasto, ale jest dostatecznie duże, żeby dwóch facetów mogło się gdzieś ukryć. Skręcił w lewo w ulicę biegnącą wzdłuż cmentarza i skierował się w stronę centrum. Na chodniku, blisko płotu, leżał nieruchomo jakiś mężczyzna. W Key West nie jest to niezwykle widok, ale Reacher zauważył coś niepokojącego i znajomego. Niepokojąca była pozycja tego faceta — leżał, trzymając rękę pod ciałem. Nerwy ramienia powinny podnieść alarm dostatecznie mocny, żeby go ocucić, niezależnie od stopnia upojenia lub odurzenia. Znajomy natomiast był błady odcień beżowej marynarki. Jasna marynarka i ciemne spodnie. Reacher przystanął, żeby się rozejrzeć. Zrobił kilka kroków i ukląkł.

To był Costello. Miał zmasakrowaną, zakrwawioną twarz. Na białej szyi mieszczucha widać było strumyki zaschniętej krwi. Reacher dotknął go za uchem, żeby sprawdzić puls.

Niczego nie wyczuł. Dotknął skóry wierzchem dłoni. Chłodna. Zwłoki jeszcze nie zeszywniały, ale to była upalna noc. Costello zginął jakąś godzinę wcześniej.

Reacher sięgnął do kieszeni jego marynarki. Wypchany portfel znikł. Chwilę później spojrzał na dłonie zabitego. Miał odcięte czubki palców. Wszystkich dziesięciu. Gładkie, zręczne cięcia pod kątem. Sprawca posługiwał się jakimś ostrym narzędziem. To nie był skalpel. Szersza klinga. Może nóż do krojenia linoleum.